II. Kiermasz? Kierniemam!

Absencja, pustka, brak zainteresowania. Nikła frekwencja... - para-rymuję rozglądając się po salce. Tłoczno, heh, normalnie jak w ulu, albo mrowisku.
Przyszedłęm tylko ja, Patryk, dwie chichoczące psiapsiółki-lolitki, starszy i szary, niczym nie wyróżniający się pan, nieco młodsza młodsza od niego kobieta - również bez szczególnych cech, postać-lamperia; śniady i iskrowłosy, błyszczący brylantyną Hindus, albo Cygan z Pakistanu i - last, but not least - wąsaty "wujcio-wariatuńcio", sympatyczny i ciężko pierdolnięty -po samej minie widać - koleś. Siedzi i uśmiecha się do siebie, to znowu krzywi z obrzydzenia, wytrzeszcza oczy z zainteresowaniem.
Najwyraźniej toczy wewnętrzną walkę, kłóci się z "tym ze środka", robi introspektywną prasówę - czyta z własnych wnętrzności, za życia; albo jak we mnie - ścierają się w nim pustki, cisze walczą o dominację.
I tyle, poza wymienionymi osobami - absolutnie nikogo. Trzydzieści - na oko - krzesełek - pustych. Jedno wielkie niedopełnienie, warsztaty z samoamputowanymi widzami - układam metafory.
Dziewczyny oglądają na telefonie streaming jakiegoś patoinfluencera; młodszy od Patryka szczeniak imprezuje na ekraniku smartfona, przeklina co drugie słowo. Piękna, głęboka i wyrazista relacja z gówniarskiego melanżu.
Dziwak jest zaaferowany streamingiem z wnętrza czaszki. Tam dopiero musi się dziać!
Mój chłopak przegląda wiadomości na Onecie.
Beżowokrnacyjniak rozgląda się tępo, jakby nie miał pojęcia gdzie i po co tu jest, został porwany przez kosmitów w rodzinnej Ar-Rakce i zgubiony, wypadł z latającego talerza we wschodnio-północnej Polsce.
Szarzy państwo - szarzeją na całego.
Psycholepkość - tyleż dziwny, śmieszny, co tajemnicy termin.
Nasz hipnotyzer/wykładowca/guru spóźnia się sporo, bo trzy akademickie kwadranse. Sorki, na mieście korki.
Przyznaję - oczekiwałem kogoś o większej klasie, a przede wszystkim - starszego. Bez przesady - nie, żeby od razu ze skrajności w skrajność; wiedziałem, że nie będzie to brodaty, stuletni jogin, z którego zmarszczek można wyczytać dziesięć odrębnych i sprzecznych, ale paradoksalnie - uzupełniających się filozofii, ale... terenowym mercedesem, starą gelendą przyjechał pryszczaty chudzielec z kozią bródką i kucykiem. Typowy nerd, prawiczek-informatyk, stereotypowy komputerowiec z fobią społeczną.
Zajmuje miejsce za biurkiem, rozkłada dziewczyński, bo z Atomówkami na okładce, rotatniś i rozpoczyna perorę.
Na pierwsy ogień idzie krionika. Jak pewnie słyszeliśmy, zabieg krioprezerwacji, zamrożenia pośmiertnego w ciekłym azocie ma być refundowany przez NFZ. Człowiek, jako podmiot, mający wolną wolę pacjent może zdecydować się na przechowywanie swego ciała post mortem w minus stu dziewięćdziesięciu sześciu stopniach Celsjusza nie wykładając z własnej kieszeni ani grosika, zwszystkie koszta pokryje Narodowy Fundusz Zdrowia.
Chcesz żyć wiecznie tu, na Ziemi, liczysz, że za n-lat medycyna osiągnie tak zaawansowany poziom, że zostaniesz nie dość, że romrożony, to jeszcze medycy przyszłości przywrócą ci świadomość, ockniesz się na przykład w 3518 roku - masz pozwoleństwo państwa, składaj wniosek, a jak tylko umrzesz - wskakuj do termosu!
No, słyszeliśmy - i co z tego? Kolejne dziwactwo, by nie rzec dosadniej, obecnego rządu. Rozdawnicy jedyne co potrafią, to przeznaczać pańsstwową kasę na kompletne pierdoły, fanaberie oligarchów, u których siedzą w kieszeniach.
Kraj bez zasad, rządzony z tylnego fotela przez macherów o brudnych łapskach. Masz odpowiednio dużo

forsy? Zamów ustawę, dwie w cenie jednej, taki pakiecik. Cieplutkie i świeże, prosto z pieca. Mogą być na wynos.
Szanowny pan sobie życzy, by z publicznych środków wybudowano zakład przetwórstwa owoców morza, ze szczególnym uwzględnieniem ośmiornic? Żaden problem. Polski kosmodrom? Już się robi! Wprowadzić ustawowy nakaz noszenia walonek przez motocyklistów? W jednej chwili!
Jakiś socjal, chore dzieci, opieka paliatywna, refundowanie niestandardowych, zagranicznych terapii? Po co to komu?
Modernizacja armii? E tam, wymysły pismaków.
Podwyżki w budżetówce? Zbędne.
Waloryzacja rent i emerytur? Jeszcze czego!
Przemalowanie Pałacu Kultury na seledynowo? Pewnie, wystarczy posmarować - zaraz przyklepie się, przepchnie, za tydzien robotnicy będą jechać z trzydziestolitrowymi wiadrami farb, rozstawiać sięgające samej iglicy rusztowania.
Posłowie i senatorowie, nie mówiąc o urędnikach niższego szczebla, to nawet nie służba, lokaje, a sfora psów na smyczy finansjery... - rozkręca się "komputerowiec".
Potem - snuje równie dramatyczną opowieść o teorii, nieco spiskowej, sam przyznaje, według której cały Wszechświat, nie, wróć, szerzej - rzeczywistość działa się już wcześniej, ale zmarła-zamarła, ogarnęła ją stagnacja, z jakichś przyczyn ustał ruch cząsteczek, co się miało wypalić - nie wypaliło się, ale właśnie zamarło. Albo zostało zamrożone przez siłę wyższą, umownie zwaną bogiem. Do ustalenia.
I wyjęto ten nasz pasztet z najniższej szuflady zamrażalnika, położono na parapecie, aby odtajał. By znowu się działo.
A go zdeformował chłód, zmutowała zbyt niska temperatura. My, maluczcy, przekuliśmy to w historię o wygnaniu z Raju, grzechu pierworodnym. A tak naprawdę to kriostaza wpłynęłą degradacyjnie na wszystko, co nam dane poznać.
Przeogromne, utopijne Kiedyś - nie wróci, nie ma najmniejszych szans, by odpsuć cuchnącą pulpę.
Słuchamy w milczeniu. Nikt nie pyta, co to ma wspólnego z psycholepkością. Gadaj, nerdzie, może dojdziesz do celu, pozlepiasz wątki w spójną, sensowną wypowiedź.
Krzysztof Bartkowski, bo tak nazywa się prelegent (banał, nie żaden Sri Ashuntosh al-Ismali Devi, niestety), lat trzydzieści cztery, wiek lekko pochrystusowy, wieloletni stypendysta Uniwersy... (mało ważne), nasz młody guru przechodzi w końcu do sedna, clue programu.
Wyczytał w sweetaśnym notatniczku, jak się hipnotyzuje, więc - panie i panowie - będzie hipnozić!
Różczka, wahadełko, zegarek w kopercie naa łańcuszku, kiwanie to w prawo, to w leewo, "Twoje powieki robią się ciężkie, ogarnia cię senność. Nie opieraj się, zaśnij, raz, dwa, trzy, śpij!" - to bzdury znane z telewizji i pokazów hochsztaplerów. Podobnie - słynne usypianie przy pomocy kart i flakonika perfum (a o tym nie słyszałem - objaśnij, na czym polega, Krzysiek!).
On - jak deklaruje - zrobi to lepiej, bo prawdziwiej, mniej spektakularnie, ale nie oszukańczo. Przyklei się nam do jaźni, umysłów, swoją drogą - ammy nie wierzyć w te określenia, psychologia to jedna wielka manipulacja i chciejcz aliteratura science-fiction, próby porozmawiania z potworem z Loch Ness o współczesnym malarstwie.
- ...albo wołanie do Yeti, jak pisała Szymborska! - wyrywa się tęgi wariat i - o dziwo - to , co mówi ma sens.
Psychologia i psychiatria - ciągnie nie wybity z rytmu kucykowiec - mają tyle sensu, co hinduskie wierzenia, Freud śmiało mógłby pisać Wedy.
Wszystko jest banalniejsze i bardziej skarlałe, niż by się mogło wydawać - i on nam to zaraz udowodni.
Kto pierwszy na ochotnika?
Zgłasza się jedna z panienek, odklejona od komórki brunetka.
- Jak masz na imię?

- Sylwia - odpowiada speszona, choć przed kim tu, do jassnej Anielki się peszyć? To on, co wygląda, jakby kobiety nigdy nie dotknął, nie licząc lizania laptopowej matrycy, gdy oglądał po pijaku pornosa i jechał na ręcznym (nie, nie gelendą) powinien być cały w pąsach.
- Dobrze, Sylwio, daj rączkę. Śmiało, nie odgryzę, nie bój się. Wystaw palec wskazujący.
I bierze go do ust, prawiczy macho, zaczyna ssać. Tak przy wszystkich, publicznie. Pieprzony fetyszysta, koniotrzep od Linuksa i Windowsa.
Samej zainteresowanej chyba średnio się to podoba, bo milczy. Jej twarz nie zdradza żadnych emocji. Nie czuje się wykorzystywana, gwałcona, ale też pewnie jej nieprzyjemnie.
Krzysztof mówi, że zabrał właśnie pierwszą tego wieczoru osobę do dawnego realu, świata sprzed lodowej apokalipsy, ery zamrażalnika.
Gdy kończy ssać, kłania się i dziękuje dziewczynie. Ta - stoi przez dłuższą chwilę nieco skołowana, po czym, mechanicznym krokiem, jakby była robotem, na ciężkiej fazie, albo naprawdę zahipnotyzowana, podchodzi do okna, otwiera je. I zaczyna mega głośno, bulgotliwie... rzygać. Rwą się nagle jej flaki, nieczytelne treści żołądkowe uwalniają się z okładek. I dźwięczy i huczy Sylwia-Niagara.
Początkowo patrzymy skonsternowani, obraz sprzed oczu nie ma w sobie logiki. Oglądamy film "Ucieczka z kina Racjonalność".
Pierwsza wstaje szara pani. Podniesionym tonem zarzuca hipnotyzerowi oszustwo; no jawna ściema, co on nam tu prezentuje? Nie udawaj, gówniaro! Skończcie ten cyrk!
I wychodzi.
Podobnie, po paru minutach słuchania żołądkowego audiobooka, robi szary pan.
"Pakistańczyk z Hondurasu" też wstaje i, łamaną polszczyzną domaga się ode mnie i Patryka, który razem z wariatem rozchichotał się w najlepsze, "zriobienia cziegoś, pomoczi mu". Próbuje chwytać chudzielca za ręce, obezwładnić. Wrzeszczy, że "otriuł dziewczina", że "kapsułki z kuriarią miał w uśtach".
Komiczną sytuację przerywa Sylwia, która kończy haftować kwieciste gobeliny, prostuje się, osiera usta i wrzeszczy na Irakijczyka, żeby się łaskawie odpierdolił od Krzyśka, bo było prze-cud-za-je-biś-cie, kurwa, ale tripas, zabrał ja tym jednym małym gestemw kosmosów sto, zobaczyła swoje wszystkie poprzednie wcielenia... Ale niestety - film leciał za szybko i sorry - zemdliło.
Hindus, zły jak osa, że "osziuści!" - wychodzi trzaskając drzwiami.
Psiapsióła Sylwii, niepytana, zgłasza się jako druga. Ona tez chce zasmakować haftogenozy, teraz ja i teraz ja.
A Krzysztof wybiera cichego i pokornego serca chłopczyka, co tak siedzi jak mysz pod miotłą i ani się odezwie.
Wstaję. A pewnie, że dam possać. Sorry, Patryk, nie bądź zazdrosny, he, he.
Język hipnotyzera jest szorstki i poktyty łaskocząco-kłującymi wypustkami, jak u kota. Nie czuję absolutnie nic; podczas aktu ssawczo-liżączego nie dokonuje się we mnie żadne duchowe przeistoczenie. Nie przenoszę się ani o pół centymetra z miejsca, w którym stoję.
Łe, idź pan w chuj z takimi czarami. Ozór ci się popsuł, pewnie zatarł, albo skończyła się magiczna ślina...
A może to ja jestem hipnozoodporny?
- Idź, już po wszystkim - mówi guru. Jakby mi właśnie wyborował ząb, założył nową plombę. Już po wszystkim, można wypluć. Zagryź szczęki, zobacz, czy nie przeszkadza. Dobra, to tyle. Dwie godziny nie jeść. Należy się sto pięćdziesiąt złotych.
Zdejmuję kurtkę z oparcia krzesłą (wieszaka w sali - niet), żegnam się z Patrykiem. Cześć, cześć, teraz ty, trzymaj się, powodzenia, nie wiem, kiedy będę, prawdopodobnie pod wieczór.
I idę, jak radził nerd. Bo, dziwnym trafem, wiem, gdzie. Dostałem niewidzialną mapę z zaznaczoną trasą, została mi przydzielona misja - iść. Dokładnie tam, teraz przejście dla pieszych. I w prawo, za garażami.
Bazarek, na kktóry trafiam, jest moim miejscem pracy i drugim domem. To nic, że nigdy wcześniej tu nie

byłem, a i nie obiło mi się przedtem o uszy, by na takim zadupiu był tardżek (a, zdaje się, znam swoje miasto).
Aklimatyzuję się szybciej, niż natychmiast, w jednej chwili wrastamw to miejsce. Powróciłem w rodzinne strony po długiej, wyczerpującej i - teraz rozumiem - bezsensownej wędrówce wokół własnej osi, tułaczce pomiędzy chmurami.
Przyjmują mnie, niczym brata marnotrawnego, straganiarze i żebracy. Są tu od wieków, świątek-piątek, zima, czy lato, deszcz, czy upał. Stoją niezmiennie przy swoich skarbach, niezmordowanie czekają na kupców.
Ruch tu, jak na Marszałkowskiej; gwarzy się gwar, tłoczą ludzie. Motłoszy motłoch. Poeci deklamują słowniki, chórzyści zapominają języka w gębach, potem - własnych imion.
Tu się śpiewa, gra na mandoline, lirze korbowej, albo w wista, tutaj się płacze za straconym dzieciństwem, śmieje z nieszczęśliwej miłości, wciaga coś-nie coś nosem, albo i uchem, handluje końmi, walutą, albo spinkami do mankietów, dziewictwem, sprzedaje kubiki złota, fury książek na opał (od Marksa po Stephena Kinga), beczki rycyny, walizki pitnego mazutu, sprzedaje rodzone córki do haremów, rodziców - na narządy, puszcza obrazy Kossaka za dwa kartony Malboro, tu największe fortuny obracają się w gruzy. Jest nawwet specjalne miejsce dla samobójców, ("buda Michała Rucińskiego", nazwana tak od nazwiska burżuja-idioty, który w przykływie szaleństwa sprzedał dobrze prosperujący holding za parę używanych sandałów) którzy, zorientowawszy się, że zrobili najgorszy interes w dziejach ludzkości, nie mogą wytrzymać ani chwili dłużej i jedyne co muszą in co im pozostało, to skrócić cierpienia, zanim fama się nie rozeszła, nie nażarli się jeszcze wstydu.
Pomalowane na niebiesko i udające toi-toie sławojki są okupowane przez wiecznie niewysikanych do końca piwoszy-prostaciarzy; po kogoś znowu przyjechał duży fiat-sanitarka, już biegną pielęgniarze z noszami.
Targowanina - nieodłączny element takiego miejsca, przybiera niekiedy groźne formy: sprzedawca lub/i klient kończą z nożem w brzuchu, siekierą w potylicy, z odrąbanymi palcami.
Pojedynki? Na porządku dziennym. Powody? Nieistotne w poważniejszym świecie: za TANIO (dobrze czytasz, nie - za drogo!) sprzedana pietruszka, świece, co miały być zapachowe - uparły się nie pachnieć, a zachwalany jako długowieczny żółw zdechł po tygodniu od zakupu.
Tutaj przychodzi się umierać poprzez zabawę, stracić wszystko, wyjść z długami, goły jak święty turecki, okaleczony. To bliznodajnia, rozbijatornia, pałac tortur.
W każdej z hal, budek, za każdym ze stoisk, straganów spotka cię wszystko, co najgorsze, znajdziesz tę jedyną, wybrankę serca, kobietę na resztę życia, zarobisz w mordę, miły z pozoru pan handlujący kasetami magnetofonowymi wybije ci zęby.
Targuj się, targuj, a wyjdziesz piękniejszy. Zdrowszy. Lżejszy o poczucie własnej wartości.
Morduj kogo popadnie, nawet nie myśl o rozstawaniu się z nożem! Poczciwy "motylek" trzy - pięć razy dziennie, uwierz mi, będzie w użyciu. Na straganie w dzień targowy - jak na wojnie - nie wiedziałeś?
Siadam na wydeptanej trawie, rozkładam zdjętą koszulę. Zająłem miejsce pomiędzy "Dziadkiem Wangiem" - staruszkiem bez gałek ocznych sprzedającym równie ślepe papugi (jak one się drą, jak rzucają w tych klatczyskach!), a korpulentną "Miss mokrej bluzki". Poci się, grubaska, słone strużki przesiąkają przez materiał i kapią na leżące w wiklinowych koszykach wafelki, ciasteczka, precle.
Nie muszę moccno drapać, ciało mam płynne i iluzoryczne, z paajęczyny, smaru i pary. Im głębiej wbijam palce, tym bardziej bawi mnie, że człowiek jest tak nietrwałą istotą, że jesteśmy tak bardzo... mięsni. Normalnie - chodząca garmażerka. I jak się to trzyma w jednym kawałku, nie rozłazi na boki?
Pierwsze, co wyciągam, to... kłębek niebezpiecznych, bo ołowiowych żaróweczek. Takich na choinkę (trochę poniewczasie, Boże narodzenie właśnie się skończyło).
Następnie - akordeon, solidny, spatynowany, radziecki. Nie da się na nim grać, bo i jakim cudem, jak on cały tak miedziany, że aż klawisze się nie poruszają?

Następnie - skrzypce, też niesprawne, bo bez strun.
Okazuje się, że nosiłem w sobie całą (podwórkową?) kapelę. Nie mam pojęcia, gdzie i od kogo mogłem podłapać tę francę, ale dobrze, że wszystko mam już za sobą.
Pozbywam się jeszcze trąbki, harmonijki ustnej, dziwacznego bębna, piszczałki, kobzy zrobionej ze szkieletu autentycznej kozy, chorych na gruźlicę dud, okaryny, fletu poprzecznego prostego, nienastrajalnej wiononczeli.
Rozłożyłem się na czynniki minus pierwsze. A ty bierz, a ty kupuj. Na pewno dobijemy targu. Jestem psycholepki, cokolwiek kupisz - będzie naznaczone moim pozytywnym hoplem.
Nachyla się, pierwsza potencjalna kliencica. Kręci nosem. Za bardzo zużyte? Barachło?
Aż mi się przykro robi, gdy to słyszę. Nie deptać muzyków!
O, teraz ktoś ciekawy - kolo w typie pakera, hardkorowy steryd. Koksiarz umysłów.
...wszystko pan bierzesz? Na-praw-dę? Nawet jeszcze nie mam ustalonych cen...
...że jak na wymianę, barter? Niby na co?
...myślisz, człowieku, że się zgodzę? Po chuj mi ten wypchany wróbel?
...na jakich żyłkach?
...dobra już - niech będzie moja strata. Luz, spokojnie, deal. Tylko bez nerw.
I tym to sposobem stałem się właścicielem truchła Elemelka. I całych worków ciszy. Czystej, nie wynikającej z milczenia niesprawnych instrumentów, ale najbardziej klarownej, bo spowodowanej przez zdech.
Siedzę na łysym, beztrawnym piachu i poruszam skrzydełkami trupka. Uczę go latać, choć sam nie umiem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 25.07.2019 11:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.